

**“WCIĄGAJĄCY THRILLER KRYMINALNY O STRACIE,  
OSZUSTWIE  
I ZDUMIEWAJĄCEJ PRAWDZIE  
UKRYTEJ W LABIRYNCIE UMYŚLU.”**

**ZBRODNIĄ**

**IKARĄ**

**WOJCIECH  
BURDEŁAK**

Wojciech

Burdelak

Zbrodnia

Ikara

*„Ciało i dusza, wszystko jest jednością.  
Bóg stworzył człowieka i prędko zapomniał.  
Dlaczego to zrobił? Ni razu nie wspomniał.  
Na obraz i podobieństwo, tak właśnie powiedział,  
zanim nas wypuścił i dał wolną wolę.  
Krzywdę nam uczynił, chyba nieświadomie,  
A może już wcześniej wszystko zaplanował?  
Co Bóg kiedyś złączył,  
Człowiek niechaj nigdy nie zechce rozdzielać.  
To nasz obowiązek i takąż potrzeba”.*

Wstęp

- Chryste Panie! Jak to możliwe?! – Janusz Kowalski, lekarz, który wcześniej odbierał poród, siedział teraz na szerokim parapecie okiennym, w służbowej łazience i w drżącej dłoni trzymał zapalonego papierosa. Zaciągał się chaotycznie raz za razem, jak gdyby liczył na to, że w dymie,

który wciąga do płuc jest coś, co pozwoliłoby mu powrócić do normalności. – Cholera, nadal się cały trzęsę! – uniósł rękę i pokazał papierosa, który nijak nie chciał pozostać w bezruchu.

To czego doświadczył dzisiejszego ranka, z medycznego punktu widzenia, nie było standardowe, ale jednak zdarzało się, co jakiś czas. Było fizyczne, namacalne, ale nie dawało się wepchnąć w ramy normalności. On wiedział, że poza tą fizycznością, z którą miał do czynienia, było coś jeszcze. Coś ulotnego, co wymykało się naukowemu uzasadnieniu. Wiedział, że wydostało się na światło dzienne i że już nigdzie nie odejdzie. Uczepiło się jego osoby i już z nim zostanie. Był pierwszym, którego zobaczyło i zapewne uznało go za członka rodziny. Było nawet tutaj. Rozejrzał się nerwowo na boki, ale oczywiście niczego niepokojącego nie dostrzegł. To tkwiło razem z nim i jego kolegą w tym pomieszczeniu i patrzyło na nich niewidzialnymi oczyma. Tyłek mu ścierpł, ale bał się zejść z tego parapetu, jakby to była jakaś enklawa, która zapewni mu bezpieczeństwo. Uznał, że zamysł z wypaleniem porannego skręta, był chyba najgorszym pomysłem w jego życiu.

Tuż obok niego stał niski i tęgawy mężczyzna. Stanisław Cebula spoglądał na swojego kolegę nieco ironicznie, ale na tyle subtelnie, aby ten grymas nie został zauważony. Opierał się plecami o drzwi do toalety, a rękę trzymał wciśniętą w kieszenie spodni. Przez prawy bark miał przewieszony zaplamiony krwią kitel, który sugerował, że również należy do grona osób, które uczestniczyły w narodzinach. Chyba nawet nie zwrócił uwagi, że zabrał go ze sobą.

Po tym nietuzinkowym porodzie, do którego został wezwany, aby wesprzeć kolegę po fachu, Cebula zdjął fartuch dopiero w swoim gabinecie i rzucił niedbale w kąt. Podszedł do umywalki, która znajdowała się w każdym gabinecie i zaczął starannie szorować dłonie. Rytuał trwał kilka minut. Robił to odruchowo, bo przecież wcześniej miał rękawiczki na rękach. Kiedy skończył, usiadł za biurkiem na drewnianym krześle, oparł łokcie na blacie i dokładnie obejrzał efekty. Wpadł w tę fobię po tym, jak kiedyś przed laty, po ciężkim porodzie wymknął się pośpiesznie z porodówki zapominając zdjąć gumowe rękawiczki. Był wówczas świeżo upieczonym lekarzem i to był jego pierwszy poród z komplikacjami. Krążył wtedy zdenerwowany po szpitalnym korytarzu w zaplamionym fartuchu i czerwonych od krwi rękawiczkach, paląc papierosa, a ludzie, których mijał patrzyli na niego z niesmakiem. Był tak podniecony, że nawet zaciągając

się dymem nie dostrzegał, co ma na dłoniach. Od tamtego czasu zawsze przestrzegał procedur, aż do dzisiaj.

Zadowolony z efektu, jaki osiągnął pod kranem, sięgnął do szuflady. Wyciągnął z niej płaską brązową butelkę i wcisnął ją sobie między uda. Powoli, niemalże z namaszczeniem odkręcił niewielką nakrętkę i nalał do połowy szklanki brązowego płynu. Szybkim ruchem wlał wszystko do gardła i przełknął. Raz jeszcze powtórzył tę czynność. Po kilku minutach „*dochodzenia do siebie*” ruszył do swoich obowiązków. Nie minęła godzina nim powrócił. Wychlipał resztę trunku duszkiem z butelki i popił zimną herbatą miętową. Kiedy pielęgniarka zajrzała do niego i oznajmiła, że doktor Kowalski zamknął się w łazience i nie ma zamiaru wyjść, schylił się po zmiętoszony fartuch, wcisnął pod pachę i ruszył z odsieczą.

Teraz przyglądał się kłębowi dymu nad głową kolegi. Od momentu, kiedy tu zajrzał zastanawiał się jak sprawić, żeby Janusz powrócił do normalności. Właśnie doszedł do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem będzie terapia szokowa.

- Jak to możliwe?! – prychnął ostentacyjnie i poprawił okulary na nosie. Wypity alkohol sprawił, że przeszedł już nad tamtym porodem do porządku dziennego. Jego kolega miał z tym jednak nadal poważny problem. – Janusz, zejź wreszcie na ziemię, człowieku! Siedzisz tu od niemal dwóch godzin i wcale nie chodzi o to, że blokujesz jedyną męską łazienkę na tym piętrze. Rozumiem, że jesteś roztrzęsiony, ale obowiązki wzywają. Pora wracać do pracy i robić to, co należy, a poza tym takie rzeczy przecież się zdarzają.

- Zdarzają, Stachu?! – wysoki, szczupły, czterdziestoletni mężczyzna zaciągnął się po raz ostatni. Wypuścił dym przez nos i rozejrzał się szybko wokół siebie, wyraźnie czegoś szukając. Uśmiechnął się triumfalnie, jak gdyby odkrył coś doniosłego, po czym zgasił papierosa na kamiennym parapecie, na którym siedział i spojrzął z góry na drzwi od kabiny. Ktoś tam kiedyś coś na nich nabazgrał, ale pracowite ręce którejs z salowych usunęły niemalże całkowicie napis.

- Oczywiście Janusz i to całe...

- Wiem, że się zdarzają! – przerwał szybko wywód Cebuli. Nie oczekiwał kazań ani durnego pocieszenia. Potrzebował tylko czasu, aby to sobie wszystko przemyśleć. Już sam fakt, że przestał być sam w tym pomieszczeniu irytował go niemiłosiernie, a do tego jeszcze musiał przełknąć naprawdę gorzką prawdę, że zrobił z siebie idiotę. – Nie jestem

do cholery nowicjuszem! Przyjąłem na świat już setki dzieciaków! W końcu siedzę w tym ładnych parę lat! Bywały porody lekkie albo takie, kiedy już w myślach żegnałem się z rodzącą lub jej dzieckiem, ale coś takiego, jak Boga kocham, zdarzyło mi się pierwszy raz!

- No to masz to już za sobą! – Cebula podniósł rękę i spróbował położyć mu dłoń na ramieniu. Chciał go jakoś wesprzeć, choć przecież nie musiał, pomóc jakoś w powrocie do normalności. Spotkał się ze zdecydowaną odmową. Kowalski skrzywił się niemalże z odrazą.

- Łatwo ci mówić, bo to nie ty po standardowej cesarce zobaczyłeś „coś” takiego! Spodziewałem się, że ujrzę coś normalnego, zwyczajnego, a tu taka... – szukał w myślach odpowiedniego określenia – anomalia! Miałeś szczęście, że kiedy przyszedłeś na salę to miałeś już rozeznanie, o co chodzi!

- Skąd ta pewność? – ironia z powrotem zagościła na jego ustach, ale szybko zniknęła.

- Słucham?! – Po raz pierwszy, odkąd tu zajrzał, spojrzął na niego z ciekawością.

- A skąd wiesz, że ktokolwiek opowiedział mi, do czego mnie wzywają?... Wyobraź sobie Janusz, że pielęgniarka, kiedy tylko wpadła do szóstki, oznajmiła mi, że doktor Kowalski ma problem na porodówce i pilnie potrzebuje pomocy. To było wszystko, cała moja wiedza. Kiedy wszedłem na salę to byłem zapewne nie mniej zaskoczony od ciebie. Nie wmawiaj mi więc, że miałem jakiś komfort i że było mi łatwiej... To wszystko, kolego! Rozumiesz?! – Patrzył zmrużonymi oczami szukając u niego zrozumienia.

Użytkownik łazienkowego parapetu chyba jednak nie do końca słuchał tego, co Cebula powiedział. Zamiast skomentować, czy w jakiś inny sposób zareagować na jego wypowiedź, ciągnął przerwany wątek.

- Gdybyś Stachu był wtedy na moim miejscu, to teraz byłbyś zapewne tak samo rozbity jak i ja! Jestem niemalże tak pewny jak tego, że siedzę teraz na tym pieprzonym parapecie i zapewne gadam od rzeczy! – Kiedy to powiedział, odwrócił głowę i spojrzął przez szybę na trawnik za oknem. Przez chwilę przyglądał się parze młodych ludzi siedzących na ławce. Starał się oddychać spokojnie, choć nadal czuł olbrzymi niepokój. Wiedział, że to najpierw z oddechem należy zrobić porządek, aby stopniowo uspokoić całą resztę. Walczył z tym od chwili, kiedy tylko

przekroczył próg tego pomieszczenia i niestety nadal przegrywał. Po kilku sekundach studiowania szczegółów za oknem powrócił do rozmowy.

- No to tyle... – szepnął jakby do siebie.

- Nie przeczę Janusz, że mogłeś być zszokowany. Tamta biedna kobieta praktycznie z izby przyjęć ruszyła od razu na porodówkę. Nie było kiedy ani jak wykryć nieprawidłowości. Gdyby rodziła w terminie i poleżała u nas trochę dłużej to wychwycilibyśmy, że coś jest nie tak.

- No właśnie! – Kowalski zareagował, jak gdyby otrzymał zastrzyk energii. Poczł się trochę lepiej i jak mu się zdawało, nabrał dystansu do zdarzenia sprzed godzin. Po raz pierwszy odkąd tu trafił, uśmiechnął się delikatnie. – Cholera, wiesz że oddałbym roczne zarobki, żeby mieć takie urządzenie... dzięki któremu można by było zajrzeć do wnętrza ludzkiego ciała bez potrzeby użycia skalpela. To byłoby coś!

- Przecież jest już taki sprzęt.

- Jest?! – spojrzał zaskoczony. – Jest coś takiego?! To czemu ja nic...

- Oczywiście, że jest... Rentgen! – Cebula uśmiechnął się ironicznie i klepnął dłońmi w swoje nalane uda.

- Tak Stachu, pewnie!... No pewnie – westchnął i zrobił zniesmaczoną minę.

- No, co ty! Żartowałem! Wiadomo, że nikt normalny nie zrobi rentgena kobiecie w zaawansowanej ciąży. Mamy sześćdziesiąty ósmy rok i gdzieś tam panuje jeszcze średniowiecze, ale coś takiego by nie przeszło. Tak sobie myślę, że ktoś mądry wymyśli coś takiego, a może już wymyślił i za dwadzieścia, albo trzydzieści lat takie urządzenia będą w powszechnym użyciu. Też chciałbym na czymś takim pracować.

- Oj Stachu, Stachu! Przestańmy fantazjować i zejźmy na ziemię. Muszę, o tym zapomnieć i to jak najszybciej, tylko że nie bardzo wiem jak – uniósł rękę przed siebie i pokazał drżącą dłoń. – Gdybym był neurochirurgiem to byłby zapewne koniec mojej kariery.

- Janusz, dobrze już, spokojnie! Nie jesteś neurochirurgiem ani nawet chirurgiem i nadal będziesz sobie doskonale radził w pracy. Tylko mi się tu nie rozsyp, chłopie – Uniósł ramię – tym razem nie spotkał się z odmową – i poklepał kolegę przyjaźnie po plecach. Adresat gestu spojrzał na niego życzliwiej i nawet uśmiechnął się półgębkiem. – Było, minęło... stało się. W naszym fachu takie rzeczy się zdarzają, choć nie powinny. Zapomnisz o tym szybciej niż ci się zdaje.

- Tak wiem... – pokiwał głową, sięgnął do kieszeni i wyciągnął nieruszoną paczkę papierosów „Marlboro”, podarunek od wdzięcznego pacjenta.

- Uuuu, Marlboro, Janusz! – Cebula zawył cicho, kiedy zobaczył, jak otwiera paczkę. – Daj jednego! No czemuś takiemu to dam się skusić! W porównaniu z naszymi czy ruskimi to jest „*tytoniowy eden*”!

- Proszę – podsunął mu paczkę niemalże pod nos. – A dla mnie dym to zawsze będzie dym.

- Dziękuję bardzo! – Cebula wsunął papierosa z ustnikiem między zęby i zaczął macać kieszenie w poszukiwaniu zapalek. – Będziesz miał ognia? – zapytał zniesmaczony faktem, że zapewne pudełko zostawił na biurku.

- Jasne!

Zaciągali się dymem w milczeniu, delektując się smakiem Ameryki. Po kilku minutach tak zadymili niewielkie pomieszczenie, że Janusz musiał zsiąść z parapetu, aby otworzyć okno. Wychylił się, żeby sprawdzić, czy aby nikt nie spaceruje na dole, po czym pstryknął niedopałkiem obserwując, jak powolnym lotem opada na trawę. Pomachał intensywnie ręką wyrzucając resztki dymu na zewnątrz i zamknął okno. Ponownie rozsiadł się na parapecie.

- Na co tobie ten fartuch? – zapytał zdziwiony i wskazał na ramię doktora Cebuli.

- A to?! – podążył za jego palcem i zaskoczony zdał sobie sprawę, że nadal to przy sobie nosi. – A nie wiem! Wziąłem to i już, ale po co? Coś chyba zamierzałem z tym zrobić? – Odrzucił go ze złością. Dopalił papierosa do końca, otworzył drzwi od kabiny i wrzucił niedopałek do sedesu.

- Nadal mi to nie daje spoko...

- Do cholery, może byśmy już ucięli ten temat! – Przerwał koledze, gdyż uznał, że znowu zaczyna wracać na niewłaściwy tor. Kowalski nawiązał do wątku sprzed kilku minut, a to oznaczało maglowanie tego, co uważał już za zamknięte. Postanowił szybko zmienić temat, ale zanim urzeczywistnił zamiar, sam się w nim pograżył. – Jutro chłopie, jeśli o tym wspomnisz, to cię kopnę w ten twój stary żyłasty tyłek! Ale skoro to nadal cię tak boli to... Owszem, takie przypadki mają miejsce. Rzadko, ale jednak mają! To jest typowa patologia medyczna, a ty to teraz tak przeżywasz, jak gdyby to dotyczyło ciebie.

- Po pierwsze, to nie jest żadna patologia, a po drugie, ten przypadek dotyczy do cholery człowieka! Trzeba o tym myśleć, trzeba się zadrećzać, kiedy spotyka nas coś takiego! Czym, kim będziemy, jeśli zaczniemy przechodzić nad takimi faktami do porządku dziennego?!

- Nieprawda, cholera!! To nie ty urodziłeś coś ta... – umilkł, nie dokończył i zrozumiał, że za bardzo się zagalopował. Spojrzał na kolegę i zobaczył oznaki zbliżającego się wybuchu. Postanowił nieco stonować. – Ty tylko odebrałeś poród. To twój zawód, który sobie obrałeś i taka twoja praca. Stało się, i to nie ty Janusz będziesz musiał z tym żyć.

- Stachu, nie wkurzaj mnie już, człowieku! – zeskoczył z parapetu i spojrzał z góry na swojego rozmówcę. W oczach miał ledwo tłumioną furię. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Mierzyli się wzrokiem jak bokserzy przed walką. Teraz najlepiej było widać jakim impulsywnym człowiekiem jest Janusz Kowalski.

- Janusz, spokojnie chłopie! – „*Zaatakowany*” cofnął się o krok, podniósł rękę i wykonał dłonią znak „*stop*”. – Wiesz przecież, że na mnie to nie działa! Może kiedyś, kiedy cię jeszcze tak dobrze nie znałem, ale teraz przyjacielu, już nie! – uśmiechnął się delikatnie i kontynuował. – Zawsze byłeś samolubny – splótł ramiona na piersiach.

Kowalski spojrzał na niego nie kryjąc zaskoczenia.

- Wiem co mówię, Janusz... Nie zaprzeczaj chłopie! Znamy się już dobrych kilkanaście lat. Przez te wszystkie lata poznałem cię na tyle dobrze, żeby stwierdzić, że nawet teraz myślisz tylko o sobie...

- Nieprawda!! – fuknął w jego stronę. To jedno słowo można było porównać do włóczni rzuconej w stronę niczego nieświadomej ofiary. Jeśliby słowa mogły skrzywdzić, to Cebula już by leżał na zimnej posadzce.

- ...a nie pomyślałeś o matce! – dokończył niezwykle spokojnie udając, że nie zauważył gwałtownej reakcji.

- A co z nią?! – agresja momentalnie ustąpiła, jak gdyby odcięto mu zasilanie, a w to miejsce wlała się troska. – Żyje?!... Mam nadzieję, że nic jej nie jest?!

- Tak szybko uciekłeś, że nawet nie masz bladego pojęcia, co było dalej! – wskazał na niego palcem i na powrót oparł plecy o drzwi do kabiny.

- Wiem cholera, ale to było silniejsze ode mnie! – spuścił głowę z pokorą.

- Lekarz powinien zawsze nad sobą panować, zwłaszcza kiedy to się dzieje na oczach personelu. Tego wymaga nasz zawodowy autorytet. Dla



niektórych ludzi jesteśmy wzorcem wartym naśladowania – Cebula stwierdził, że w tym przypadku, najlepszym lekarstwem będzie krótki moralny wykład. – Jeżeli my sami Janusz nie będziemy siebie szanować, to pielęgniarki i wszyscy pozostali zwyczajnie zaczną nas olewać!

- Pojąłem to i rozumiem. Wykład do mnie trafił! Naprawdę miałem tutaj trochę czasu na przemyślenia. Nie dałem rady, spanikowałem! Kiedy tu wpadłem, to najpierw przez pięć minut wymiotowałem, a później dostałem spazmów – przetarł spocone czoło, a mokrą dłoń wytarł w koszulę. – To co z matką?!

- Żyje!... Oczywiście przeżyła cesarkę!... Jej akurat fizycznie nic nie dolega. Jednak diabeł jak zawsze tkwi w szczegółach. Widzisz Janusz, problem jest innego rodzaju.

- Chodzi o to, o to... – doktor Kowalski ponownie się „zablokował”. Przez kilka sekund szukał odpowiedniego określenia – ...maleństwo?! – potrząsnął szybko głową na boki z niedowierzaniem, iż może mieć aż tak ubogie słownictwo. – Jaki to problem?! Stachu, mów! Nie strasz mnie, człowieku!

- Wcale nie zamierzam cię straszyć. To by było zbyt banalne. Tu chodzi o coś więcej – przeczesał palcami włosy i spojrzał niezwykle poważnie. Chwilę później drapał się po policzku zastanawiając się, jak to ubrać w słowa.

- Ha! Nawet ty nie wiesz jak to powiedzieć! – Kowalski stwierdził triumfalnie.

- Tak właśnie! – zbył jego uwagę krótko i kontynuował. – W czasie kiedy tu siedziałeś zrobiłem „wywiad”. Otóż ta kobieta pochodzi z małego miasteczka i podczas przyjęcia na oddział „pochwaliła” się, że w czasie ciąży nie chodziła na kontrole do ginekologa, bo matka wpajała jej, że wszystko jest w porządku! To była jej pierwsza ciąża, więc to, co mówiła jej rodzicielka było dla niej najwyższym autorytetem. Kiedy uciekłeś z sali, a szczęśliwa mamusia wybudziła się z narkozy, to poprosiła, żeby pokazać jej co wydała na świat. Miałem opory, próbowałem odwlec w czasie ten moment, ale cóż robić, musieliśmy ustąpić. W końcu ma do tego niezbywalne prawo. Kiedy wreszcie ujrzała owoc miłości jej i męża to wpadła w panikę! Panikę człowieku, którą to ja musiałem opanować! Tak, to ja... – zrobił krok w przód i dzióbnął się palcem w klatkę piersiową.

- Jezu kochany!! Współczuję ci chłopie i przepraszam, ale to było silniejsze ode mnie! – Odwrócił się plecami i kilkakrotnie przeciągnął

palcem po szybie, pozostawiając na powierzchni wilgotny ślad. Cebula zrozumiał, że tym razem dopadł kolegę wstyd.

- Wybaczam ci.

- Zrozum Stachu, że nikt mnie wcześniej nie przygotował na taki widok – Mówił powoli cedząc słowa. – Czegoś takiego przecież nie uczą na studiach. Przez lata robiłem swoje, a później popadłem w rutynę i stałem się chyba snobem, który uważa, że posiadał wszelkie rozumy – Odwrócił się z powrotem do niego i westchnął ciężko.

- Janusz, co ja słyszę?! Skrucha u ciebie?! Nie wierzę! – poprawił okulary i spojrzał na swego rozmówcę z najwyższą uwagą pomieszaną z niedowierzaniem. – Chwała niech będzie najwyższemu! No, to się wreszcie tego doczekałem!

- A jednak! – Kowalski nagle poderwał się i uderzył z impetem otwartą dłonią w swoje czoło. Rozległ się głośny plask, a na skórze pozostał czerwony ślad. Zaraz potem uśmiechnął się ironicznie, wręcz złośliwie. – Olśniło mnie! Trzeba być mężczyzną i umieć się przyznać do błędów! Dałem dzisiaj ciała i to wręcz wzorcowo, ale..., ale jak zawsze masz rację... – chrząknął, jak gdyby coś zaległo mu w gardle. – Jednak wiem, że to tylko moja praca. Muszę nabierać „zdrowego” dystansu, bo inaczej zwariuję. Z czasem zapewne o tym dniu zapomnę, kto wie?... Jednak tej kobiecie, matce, współczuję i to szczerze. Chryste, co ona musi teraz przeżywać! – pokiwał głową ze współczuciem. – Dobra, wracajmy do pracy! Może na oddziale coś się dzieje, a my siedzimy sobie w kiblu, jak gdyby nigdy nic... Chodź, przyjacielu! – objął Cebulę ramieniem i pociągnął w stronę drzwi. – Muszę zajrzeć do tej biednej kobiety!

Zaskoczony Cebula ruszył z nim posłusznie, próbując przy tym wyrwać się z niedźwiedziego uścisku wyższego o głowę mężczyzny. Kiedy mu się to wreszcie udało, zaczął się zastanawiać, co też było w tym papierosie, którego jego kolega przed chwilą wypalił.

## 1.

- Czy to pewne?! Kurczę, czy pan w ogóle rozumie, co mówi?!... Czy szanowny pan doktor siebie słyszy?! – mężczyzna w średnim wieku pytał z agresją w głosie, a jednocześnie z niewielką nutką nadziei, że może to pomyłka. Właśnie usłyszał diagnozę dotyczącą choroby, na którą zapadł

jakiś czas temu. Informacja należała do gatunku tych z kategorii zwalających z nóg. Niecodziennie przecież słyszy się informacje, które brzmią jak wyrok śmierci. Buntował się na samą myśl, że z ust obcej osoby usłyszał takie słowa.

Zamilkł, siedział teraz ze spuszczoną głową i nie miał żadnego planu na to, co zrobić dalej. Już sam fakt, że nie patrzył swemu rozmówcy w oczy, było w jego przypadku czymś niecodziennym. Niejako od zawsze podczas rozmów czy to prywatnych, czy też służbowych niemalże nachalnie szukał konfrontacji wzrokowej. To się zawsze sprawdzało w biznesie, gdzie czuł się jak ryba w wodzie i pozwalało osiągnąć przewagę w kontaktach. Tym razem jednak był zdruzgotany i dlatego odpuścił, ale to również sprawiło, że czuł się tak samo przerażony, jak poirytowany.

Dawid Ikar kilka minut wcześniej przekroczył próg gabinetu doktora Różewicza, onkologa. Pozwolił, aby żona Wiesława weszła do środka razem z nim. Nie chciał tego, miał swoje zasady, ale ona uparła się, że chce być przy tej rozmowie. Łatwo mógłby jej tego zabronić, w końcu to on rządził w tym związku, ale po namyśle stwierdził, że może ona rzeczywiście ma rację. To, że się tutaj oboje znaleźli było tylko jej zasługą. Z jednej strony był jej za to wdzięczny, ale jego druga, negatywna strona charakteru nie pochwałała tego i bardzo pragnął ją za to ukarać.

Kiedy kilka tygodni temu poczuł się naprawdę źle, naciskała, aby zrobił niezbędne badania. Chciał to zbagatelizować, jak zwykła czynić to większość mężczyzn. Na tamtym etapie wystarczyło wziąć silny lek przeciwbólowy. Nie ustępowała jednak i tak mu długo i skutecznie „suszyła” głowę, że wreszcie ustąpił. Zrobił wszystkie konieczne badania, a Wiesława dostarczyła do kliniki wszystkie wyniki. A dzisiaj przyszedł ten moment, kiedy stawiał się w tym miejscu, żeby usłyszeć wyrok.

- Tak!... Niestety tak, panie Dawidzie! Nie mam problemów ze słuchem! Słyszę siebie i wiem co mówię! – lekarz siedział naprzeciwko – dzieliło ich jedynie biurko – i nie odrywał oczu od kilku kartek papieru, które trzymał w dłoniach. To były wyniki standardowych badań oraz opisy USG i wycinków pobranych do analizy.

- Może to jakaś pomyłka, panie doktorze?! – głos mu drżał. – Ktoś się pomylił, może to nie są moje wyniki?! – przełamał się i spojrzał wreszcie na swego rozmówcę, ale ujrzał jedynie przeczący ruch głowy.

Dawid odetchnął głęboko i wytarł pot z czoła. Nie miał bladego pojęcia co mógłby, a raczej co powinien teraz powiedzieć. Coś oryginalnego,

buńczuczności, czy może raczej zachować milczenie i pogрузić się w rozpacz. Rozejrzał się uważnie po niewielkim gabinecie, w którym znalazł się, niejako wbrew swej woli. Naprzeciwko siebie miał tuzinkowego faceta, który tkwił opakowany w śnieżnobiały kitel i próbował na siłę uchodzić za kogoś mądrego i charyzmatycznego. Od samego początku, kiedy tylko przekroczył jego próg poczuł, że nie ma i nigdy nie będzie pomiędzy nimi żadnej chemii.

Pół roku temu, kiedy to się zaczęło, zbagatelizował pierwsze objawy. Wtedy nie bolało zbyt mocno, a jeśli już, trwało krótko. Z czasem jednak objawy nasiliły się do tego stopnia, że musiał powiedzieć o tym Wiesławie. Teraz natomiast, według słów tego cholernego konowala, było już za późno. Z początku owijał w bawełnę i próbował zbyć go okólnikami. W stylu: trzeba jeszcze przeprowadzić dodatkowe badania, wszystko będzie dobrze, medycyna cały czas robi postępy i tym podobne, ale nie pozwolił się w ten sposób potraktować. Postawił ultimatum i wówczas usłyszał, że gdyby trafił do jego gabinetu właśnie pół roku wcześniej, to wszystko skończyłoby się dobrze.

Czuł, że coś w środku zaczyna się w nim gotować, jak przysłowiowa porcja wody w czajniku. Przekręcił głowę i spojrzał za siebie. Sprawczyni tego całego zamieszania siedziała za jego plecami i milczała. Nie takiej reakcji spodziewał się z jej strony. Przecież to ona go tu niejako przywlekleła. Liczył raczej przez własną próżność na jakieś łyzy, czy choćby pochlipywania z jej strony, a ona siedziała sobie, jak na jakimś wykładzie i zachowywała stoicki spokój. Szykował się stopniowo do ataku, był żądny „krwi”, ale jedyne co wypłynęło z jego ust, to proste, lapidarne słowo: Boże!

- Przykro mi! – usłyszał z ust lekarza wyćwiczony zapewne zwrot. – Medycyna potrafi nas czasami pozytywnie zaskakiwać. Są przerzuty, ale jeśli jednak wyrazi pan zgodę, to możemy operacyjnie pozbyć się tych najbardziej zaatakowanych miejsc. Chemia też by była wskazana.

Słowa te zamiast dodać otuchy podziały na niego, jak płachta na byka. Z apatii i załamania, w które przed chwilą zapadł, przeszedł powtórnie do agresji. Sam już nie miał pewności, czy tak właśnie powinien się zachowywać, ale przecież musiał jakoś wyładować agresję.

- Co?! Tylko tyle?! – Nie rozumiał, a właściwie to rozumiał doskonale, ale się przed tym buntował, że można w ten sposób oznajmiać komuś, że powoli umiera. Nigdy nie zastanawiał się, jak powinno to wyglądać, ale

teraz uznał, że na pewno nie tak. – To wszystko, co usłyszę od pana?! I co teraz, mam wstać i grzecznie sobie wyjść?! Cholera, przecież nie jestem u dentysty i nie rozmawiamy o usunięciu zęba!!

- Panie Ikar, powiedziałem przed chwilą, że mi przykro. Co więcej?... – spojrzał w jego stronę zdziwiony.

Ikar obserwował go uważnie i stwierdził, że to nie jest szczere. – Gówna prawda – szepnął pod nosem.

- Naprawdę mi przykro, proszę pana.

- Jakoś nie chce mi się wierzyć w pańskie słowa! Powiem więcej, panu wcale nie jest przykro!

- Dlaczego pan tak mówi? – był zniesmaczony, ale tym razem było to autentyczne.

- Dlaczego?! – poczuł nagły przypływ adrenaliny. – Już panu tłumaczę!... Bo jestem wściekły! Wściekły, a może zdruzgotany, sam nie wiem?! A możliwe, że jedno i drugie! Właśnie oznajmia mi pan, że mam raka! I niech mi pan, nie pieprzy o chemii, operacjach i takich tam! Przecież obaj wiemy, że to odroczone w czasie wyrok śmierci. Dla pana to zapewne nie pierwszozna!... Niech pan mi powie ile razy mówił pan podobne rzeczy pacjentom?! Wiem, że macie to wyćwiczone. Zapewne przechodzicie jakieś szkolenia, jak w normalny, spokojny sposób przekazywać nieuleczalnie chorym pacjentom takie rzeczy... – wypluwał słowa jak karabin maszynowy pociski. Myślał, że dzięki temu rozładuje emocje, ale było jeszcze gorzej.

- To nie są rzeczy! – lekarz również podniósł głos. Teraz bardziej to przypominało awanturę karczemną niż rozmowę lekarza z pacjentem. – Stan zdrowia chorego, to nie jest „rzecz”! Dostanie pan ode mnie skierowanie do szpitala na oddział onkologii, na którym pracuję! Będę pana lekarzem prowadzącym – chyba zauważył, że za bardzo się zagalopował, gdyż trochę teraz spuścił z tonu. – Wiem jak pan się teraz czuje, panie Ikar. I niech pan mi wierzy...

- Gówna prawda! – zawołał – Nawet jeśli kiedykolwiek trafię na pański oddział, to na pewno nie pan będzie moim prowadzącym. Znajdę kogoś innego, kto zna się na rzeczy! – Poderwał się gwałtownie z krzesła i oparł dłonie na biurku, które ich oddzielało. Miał olbrzymią ochotę wyrwać temu elegancikowi język, aby już nigdy więcej nie mógł komukolwiek przekazać podobnych informacji. – Wiem, że ma pan gdzieś, co się ze mną stanie! Jestem kolejnym elementem statystyki medycznej...

- Nie... – lekarz próbował mu przerwać, ale z marnym skutkiem. Dawid wpadł w typowy słowotok i nie zamierzał przerywać.

- Milczeć!! – warknął. – Teraz ja mówię! Ja mówię, a ty słuchasz! Sprawdź doktorku raz jeszcze dokładnie wszystkie wyniki. Jeśli coś wzbudza twoje podejrzenia, to zrób dodatkowe badania. Nie możesz popaprać serwować chorym pacjentom wyroków, jeśli istnieje choć cień szansy, że się mylisz! Zapamiętaj sobie, co teraz powiem. Jeżeli się pomyliłeś, coś przegapiłeś, czy nie dopełniłeś właściwie swoich obowiązków i ja jestem zdrowy, to... – przerwał na moment zastanawiając się, jak najdobitniej zakończyć rozmowę. – To ja cię zniszczę! Jestem bogaty! Mam mnóstwo kasy! Zgnoję cię, jeśli okaże się, że moja trzustka jednak jest zdrowa! Jeżeli jednak okaże się, że masz rację i zostało mi trochę więcej niż trzy miesiące życia, to ja... – westchnął ciężko, zacharczał, jakby ktoś uderzył go w krtań i po chwili zawył, niczym raniony zwierz. Z jego oczu popłynęły szerokim strumieniem łzy. Spuścił głowę, tak że broda oparła się na jego klatce piersiowej. Przez kilka minut spazmy wstrząsały całym ciałem. Kiedy już się trochę uspokoił, odwrócił się w stronę drzwi i wyszedł bez słowa.

- Dawid! Zaraz do ciebie przyjdę! – dotarło do niego, kiedy zamykał drzwi za sobą.

- Nie musiałeś go od razu obrażać! – ciężko dyszała, kiedy wreszcie dogoniła go w korytarzu na parterze, tuż przed automatycznymi, rozsuwanymi drzwiami. Została w gabinecie, aby jeszcze porozmawiać spokojnie z lekarzem i przeprosić za zachowanie męża. Odpowiedział, że nic się nie stało. Twierdził, że chorzy na różne sposoby reagują i że taka reakcja go nie zaskoczyła. Wiedziała, że nie mówi szczerze, próbując ją w ten sposób uspokoić. Było jej przykro i czuła ogromne przygnębienie, kiedy lekarz na początku rozmowy przedstawił opinię dotyczącą stanu zdrowia jej męża. Nie odzywała się jednak, gdyż uznała, że najlepiej będzie, jeśli zachowa milczenie. Znała Dawida na tyle dobrze, aby wiedzieć, że jest jak ta beczka prochu, której potrzeba tylko niewielkiej iskry, żeby eksplodowała.

Dawid zatrzymał się dopiero kilkanaście metrów za progiem szpitala. Nie spojrzął w jej stronę. Powoli odwrócił się i omiół wzrokiem front budynku, jak gdyby żegnał się z tym przybytkiem na zawsze. Wiesława w przyptywie czułości, zbliżyła się do niego i spróbowała pocałować. Zbliżyła

usta do jego policzka, ale w ostatnim momencie zauważyła, że daje jej wyraźny znak, iż sobie tego nie życzy. Cofnęła się posłusznie o krok. Rozumiała, że w tym momencie lepiej mu się nie przeciwstawiać.

- Obrażać?! Ja go tylko uświadamiałem – odpowiedział dopiero teraz, kiedy już doszedł do siebie. Znowu poczuł ten charakterystyczny dla niego przyływ energii, który zawsze wiązał się z poniżaniem i obrażaniem ludzi.

- Ale tak nie można, Dawid! Boże Świący, tak się nie robi! – wiedziała co teraz nastąpi, ale musiała to powiedzieć. Rozumiała, a może tylko wydawało jej się, że jest w stanie pojąć, co on czuje i przeżywa w tym momencie. Współczuła mu i to bardzo. Był przecież jej mężem, ale to jak się zachował w stosunku do obcej osoby, przekroczyło wszelkie granice przyzwoitości. Wiedziała doskonale, jak trudny ma charakter i jaki potrafi być wredny. Dziś, dosłownie przed kilkanaście minutami, najadła się przez niego wstydu i pragnęła, żeby zdał sobie z tego sprawę.

- A właśnie, że można, do cholery! – chciał na nią naskoczyć, aby pokazać kto tu rządzi, gdy nagle zachwiał się i odruchowo położył dłoń na jej ramieniu.

- Dawid! – krzyknęła przerażona.

- Nic!... To nic, już mija... tylko się zachwiałem – potrząsnął intensywnie głową na boki i kilkakrotnie szybko zamrugał. Nabrał głęboki haust powietrza do płuc i wskazał ręką na pobliską ławkę. – Tam!

Wiesława złapała go pomimo jego protestów pod ramię i pomogła dojść, a następnie usiąść na ławce. Był blady. Jego skóra zawsze rumiana, teraz nabrała barwy śniegu. Usiadł i złapał się za brzuch, po czym skulił i syknął z bólu.

- Mocno cię boli?! – zapytała czule, siadając tuż obok. Uniosła rękę i poruszyła delikatnie palcami we włosach na jego głowie.

- Nie!... Swędzi do cholery! – warknął, ruszył gwałtownie głową i spojrzał jej w oczy. – Boli jak cholera! Zaczęły się zapewne przerzuty, a ten konował nic o tym nie wspomniał.

- Wspominał kochany, wspominał, tylko ty go nie słuchałeś – instynktownie odsunęła się od niego. – Wiem, że cię boli, ale nie musisz być taki! Współczuję ci, naprawdę, ale tak nie można! Najpierw Bogu ducha winny lekarz, który nic ci przecież nie zrobił, a teraz ja! Nie można tak traktować ludzi, Dawid!

- Można! Właśnie, że można – podniósł się i wyprostował, ale zaraz potem ponownie opadł na siedzisko. – Jezu, Jezu, Jezu! – trzymał obiema dłońmi na bolącym miejscu i zgięty w pół kiwał się powoli do przodu i do tyłu.

- Wezwać pomoc?! Kochany, mam kogoś zawołać? – przestraszyła się. Nigdy wcześniej, nie miała do czynienia z tak poważnie chorym człowiekiem. Fakt, że to jej mąż nie miał teraz żadnego znaczenia. Odwróciła głowę i spojrzała na podjazd dla karetek. Był pusty.

- Yyy... – usłyszała, jak zawodzi cicho z bólu. Próbował stłumić odgłosy, ale nie do końca mu się to udało. Zobaczyła, że nadal kontynuuje to swoje kołysanie, jednocześnie kiwając rytmicznie głową na boki. – Nie, nie trzeba. Powiedziałem nie trzeba – głos mu drżał. Wiedziała, że jest uparty i sam próbuje walczyć z bólem. – Już przechodzi. Już prawie dobrze.

Odpuściła, bo musiała. Postanowiła, że da mu czas na dojście do siebie, a jeśli stanie się coś złego to wtedy wezwie pomoc. Oparła się plecami o ławkę i ponownie popatrzyła na budynek szpitala. Przestała się bać. Świadomość, że oboje znajdują się zaledwie kilkadziesiąt metrów od miejsca, gdzie przebywa mnóstwo osób wykształconych na uczelniach medycznych, uspokoiło ją i dodało nieco pewności siebie. Założyła nogę na nogę i położyła dłonie na kolanie. Westchnęła cicho, zamknęła oczy i czekała.

- Już mi lepiej. Już dobrze – usłyszała cichy szept. Poderwała się odruchowo i zobaczyła, że Dawid powoli podnosi się i staje naprzeciwko. Nie był jeszcze całkiem sobą, ale z jego twarzy zniknął grymas bólu. Chwilę jeszcze stał rozkojarzony, ale za moment przesłał jej przekaz, że już jest sobą. – A teraz spadamy stąd, Wiecha!

- Nie lubię, kiedy tak mnie nazywasz! Nie jestem Wiecha, tylko Wiesia! – w pierwszym odruchu poczuła się urażona, a zaraz potem przyszło zadowolenie, że atak minął i wraca do sił. – Już lepiej, kochany?

Złapała go za ramię, ale wzdrygnął się jedynie odrzucając jej gest. Chciała mu tylko pomóc w dojściu do samochodu. Miała go serdecznie dosyć i gdyby chodziło tylko o wizytę na przykład u dentysty, to dałaby mu popalić. Chociaż nie, nie zrobiłaby tego, nie w takim miejscu. Gdyby zaczęli się kłócić, to po chwili cały szpital miałby darmowe przedstawienie. Rozumiała przecież, że jest bardzo chory i przez to musiała brać poprawkę na jego fochy, których z czasem będzie coraz więcej.



- O, słodka cierpliwości! – szepnęła bardzo cicho, aby jej nie usłyszał. Wcisnęła głowę w ramiona, westchnęła ciężko i czekała na jego ruch.

- Nie truj już, wracamy do domu! – uśmiechnął się złośliwie.

Ja truję? pomyślała. Nie była na tyle odważna, aby powiedzieć to na głos.

Ruszył przed siebie, a ona posłusznie dreptała tuż za nim. Po zaledwie kilku krokach zatrzymał się. Wspiął się na palce i wyciągnął szyję. Rozglądał się na boki. Wyglądał teraz jak ten piesek preriowy, stojący „*na warcie*”, aby wypatrzeć potencjalne zagrożenie.

- I nie sil mi się na jakiegokolwiek współczucie, bo się zaraz wścieknę! – odwrócił się w jej stronę, złapał za ramię i pchnął zdecydowanie w kierunku szpitalnego parkingu, gdzie zostawili auto.

- Au! To boli, człowieku! – rzuciła z wyrzutem. – Nie jestem twoim popychadłem!

- A właśnie, że jesteś! A teraz zamknij się i szukaj mojego samochodu, bo zapomniałem, gdzie go zostawiłem!

- Chyba naszego! – szepnęła cicho licząc, że nie usłyszy.

- Mojego! – jednak usłyszał. – Coś ci się pomyliło kobieto! Nie naszego, tylko mojego! – zatrzymał się i zaczął rozglądać w poszukiwaniu czarnego Bentleya, którego kupił przed rokiem.

- Chryste panie!... Rozumiem, że jesteś chory i możesz nie być sobą, ale nie jesteś normalny, Dawid!... Powiem więcej, jesteś coraz gorszy! – pokręciła głowę z niedowierzaniem. Już po kilku minutach od spotkania z lekarzem miała go dosyć. Błyskawicznie zdała sobie sprawę z faktu, że wszystko co najlepsze, oczywiście w cudzysłowie, jest dopiero przed nią. Rozumiała, że wraz z rozwojem choroby, będzie się robił coraz bardziej nieznośny. Choć w jego przypadku określenie „*nieznośny*” było zbyt łagodnie powiedziane. Wściekła się na samą siebie, kiedy uzmysłowiła sobie, że przecież już przerabiała te myśli. – Nie wiem, dlaczego jeszcze z tobą jestem? – dodała, aby mu dopiec.

- Jak to dlaczego?! Jesteś ze mną dla moich pieniędzy! Ot, cała prawda! Jest...! Tu stoi, moje cacko! – uśmiechnął się na widok samochodu i ruszył w jego stronę.

- Tylko ono się liczy! – pomyślała. – To pieprzone auto, no i może jeszcze ten pies! Dobrze, że mam jeszcze Piotrusia. Syn będzie moim wsparciem na stare lata. – W jej oczach natychmiast zagościła wilgoć i z

trudem powstrzymała łzy. Ku swojemu zaskoczeniu usłyszała słowa, które zabrzmiały, jakby czytał jej w myślach.

- Myślisz pewnie, że tylko Bentley się liczy?! Przepraszam, żartowałem Wieśka! Musimy wracać do domu. Tam się lepiej poczuję. Trzymaj! – rzucił kluczyki w jej stronę. Jak zawsze ledwie złapała. – Ty prowadzisz! Ja jakoś dzisiaj nie dam rady. Włącz mi tylko „Autobiografię”. To mi pozwoli się zrelaksować. Boże, co to kiedyś były za piosenki. Czysta przyjemność, a teraz to tylko łubu dubu.

Wsiadli do samochodu. Zapiął pas i zamknął oczy. W tle rozbrzmiewały cichutko dźwięki jego ulubionej piosenki. Pomyślał, że chyba w jego życiu przyszała pora na pewne podsumowania.

Dawid Ikar był człowiekiem, który zawsze kierował się konkretnymi, rzeczowymi zasadami. Konwenanse nigdy go nie interesowały i co za tym idzie, niemalże nigdy ich nie przestrzegał. Coś takiego było dla innych. Żył zasadami, które wpoił mu jego ojciec i to ciężką ręką. Nawet po tylu latach przychodziły czasami takie momenty, kiedy wydawało mu się, że nadal czuje jego razy na tyłku. Nie miał do niego o to pretensji. Tak przecież kiedyś wychowywano dzieci i to było słuszne. Nie to co teraz. Mali ludzie, ci maluczcy powinni przestrzegać pewnych zasad, a nietuzinkowi są po to, aby je egzekwować, twierdził. Za miesiąc powinien obchodzić 52 urodziny. Prezent, który przed chwilą otrzymał od tamtego medyka sprawił, że świat, w którym spokojnie egzystował wywrócił się nagle z wielkim hukiem. Jego własne prywatne imperium, które budował z takim mozolem przez całe dorosłe życie, nie uchroniło go przed tak oczywistą i nieuchronną rzeczą, jaką jest nadchodząca śmierć. Uznał, że jego czas na tym świecie się skończył i nie zamierzał z tym walczyć.

## 2.

- I to wszystko, synu! To by chyba było na tyle – Dawid westchnął z ulgą, że wreszcie przez to przebrnął.

- I co teraz, tato?!

Piotr, niezwykle spokojnie przyjął informację o stanie zdrowia swojego ojca. Taką przynajmniej przybrał maskę. Ona jednak wiedziała, co dzieje się w jego głowie. Był wrażliwym człowiekiem, choć nie miała pojęcia po

kim odziedziczył tę cechę. Wcześniej nic mu nie powiedzieli, gdyż wspólnie uznali, że tak będzie lepiej. Kilka dni temu Dawid jednak poznał okrutną prawdę, więc nie było sensu przedłużać w nieskończoność jego niewiedzy. Syn był akurat w trakcie załatwiania pewnych niezbędnych spraw związanych z wyjazdem do Stanów Zjednoczonych. Wyrobił sobie wizę i już pół roku temu oznajmił im, że wyjeżdża za ocean. Miał pracować w jakiejś korporacji, której nazwy ku ich zaskoczeniu nie zamierzał im zdradzić. Teraz był akurat taki okres, kiedy Piotr był strasznie zabiegany i praktycznie nie bywał w domu.

Dziś była niedziela i jakoś udało się Wiesławie ściągnąć go do domu. Z pewnymi oporami, ale jednak zjawił się na wspólny, rodzinny obiad, a ona wykorzystała ten fakt, aby Dawid mógł osobiście opowiedzieć synowi o swojej chorobie. Byli już po obiedzie i teraz zebrali się w jego gabinecie. Obaj usiedli naprzeciwko siebie w wygodnych fotelach. Rozdzielało ich jedynie masywne, ciężkie biurko. Ona usiadła z boku, na krześle, aby mieć wszystko na przysłowiowym oku.

- A mamuśka usiądzie sobie z boku, żeby mieć na was panowie patzenieeee! – zażartowała, aby rozładować atmosferę. Uśmiechnęła się promiennie i czekała na reakcję. Żaden z nich nawet na nią nie spojrzał. Dowcip się nie przyjął, a ona poczuła, że chyba popełniła błąd.

Z jej perspektywy trochę to wyglądało tak, jakby do męża przyszedł kolejny interesant. Miała nadzieję, że Piotr nie będzie tego właśnie w taki sposób postrzegał. To nie miało być spotkanie informacyjne, a ciepły, rodzinny dialog.

Dzisiejszy posiłek miał zjeść z nimi pewien ważny partner biznesowy. Dawid zaprosił go bez wiedzy Wiesławy. Z początku, kiedy jej to oznajmił była na niego zwyczajnie zła. Przecież to właśnie dzisiaj miał opowiedzieć synowi o swoim zdrowiu. Później jednak doszła do wniosku, że taka odmiana będzie dobra dla polepszenia domowej atmosfery, a oni zapewne znajdą odpowiedni czas kiedy gość już odjedzie. Biznesmen odwołał jednak wizytę w ostatniej chwili, zasłaniając się o ironio, złym stanem zdrowia. Pozostali w wytwornych strojach, jakie założyli specjalnie na tę okoliczność. Obaj byli ubrani w eleganckie czarne garnitury. Patrząc w tej chwili na nich poczuła dumę, że przebywa w towarzystwie tak wytwornych mężczyzn. Przy obiedzie skomentowała nawet, że wyglądają, jak gdyby przyszli na wesele. W zamian usłyszała od Dawida ciętą ripostę.

- Tak, tak! Akurat na wesele! Chyba raczej na stypę! – powiedział te słowa, niby żartując, ale zaraz potem spojrział wymownie na jej strój. Sama nie wiedziała, dlaczego, ale ubrała się dzisiaj na czarno. Nie pomyślała nawet, że może to się źle kojarzyć.

- Pytałem ojciec, co teraz?! – Piotr nie ustępował. Tym razem spojrział wymownie na Wiesławę i ulotnym ruchem głowy wskazał na swojego ojca.

- Nie wiem! – padła niezwykle krótka odpowiedź, ale taka była prawda. Od wizyty u lekarza minął tydzień, a on jak nigdy dotąd nie miał pomysłu na najbliższą przyszłość. Siedział ze spuszczoną głową i nawet nie wiedział, co powinien synowi odpowiedzieć. Pytanie było banalne, a jednocześnie niezwykle głębokie, gdyż dotyczyło się jego życia, które miało się już przecieć ku końcowi.

- Tato, ty nie wiesz?! Ty!?!...

Dawid patrzył na niego z uwagą. Syn miał bezsprzecznie jego charakter. Odziedziczył niestety jednak również pewne cechy po matce. W sumie był zlepkim ich obojga. Dawid nie był idiotą i doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, jaki ma trudny charakter i jakim jest człowiekiem. Traktował to jednak jako pozytyw. Wiedział, że gdyby nie te cechy, to nie osiągnąłby tego co teraz posiada. Nikt go nie rozumiał i nikt nie darzył specjalną sympatią. Było mu to jednak zupełnie obojętne. W kwestii wychowania syna wprowadzał żelazne zasady. Twierdził, że „jego krew” powinna być lepsza niż on sam. Syn powinien ewoluować i przyswoić sobie wszystko co najlepsze z puli genów ojca i matki. Gdyby ta przeklęta choroba nie pomieszała mu szyków, to zamierzał stopniowo przekazywać mu wszystko, czego się do tej pory dorobił. Już dawno temu zaczął się do tego przygotowywać. Chciał się usunąć w cień i w subtelny sposób śledzić poczynania syna.

Zawsze twierdził, że Piotr jest mądrzejszy od niego. Nie był może tak bezwzględny, jak on w jego wieku, ale przecieć nie musiał. Nie miał firmy, nie kierował ludźmi i nie potrzebował codziennie toczyć niezliczonych wojen z konkurencją. Żona od dobrych pięciu lat wytykała mu, że powinien wreszcie przekazać interes synowi. Wiedział, że miała rację, ale ponieważ byłoby to przyznaniem się do błędu, więc niejako z przekory, przesuwał w czasie, to co nieuchronne.

- No i co mam ci powiedzieć, Piotruś?! – spojrział na syna z uwagą i momentalnie poczuł ojcowską dumę. Zawsze tak było, ilekroć podświadomie oceniał jego wizerunek. Nie chodziło o wygląd zewnętrzny

tylko o to coś subtelnego w środku. Biła od syna ta sama energia, co od niego prawie trzydzieści lat wcześniej.

- Co masz powiedzieć?!... Nie wierzę! – Piotr nie krył zdziwienia. Skrzywił się zawiedziony nim dokończył. – Tato, ty się poddałeś!

- Poddałeś, powiadasz! No cóż, może i masz rację, mój synu – westchnął ciężko i złapał się za bolący bok. Ataki zaczynały się nasilać, a on jeszcze nie wziął leku. Skrzywił się nieznacznie, licząc, że nie zwrócą na to uwagi. Ból był tym razem nieco słabszy i trwał krótko, dlatego jakoś go przetrzymał. Nie chciał teraz okazywać słabości. – Cóż jednak powinienem zrobić według ciebie?! Mam sobie wyciąć trzustkę, czy może szybko stworzyć rewolucyjny lek na raka? Po pierwsze, bez trzustki nie da się żyć, a po drugie, ja nie jestem naukowcem. Widzisz więc, że tak jedno, jak i drugie, nie wchodzi w rachubę.

- Wiesz, że nie o to mi chodzi, tato! – pokręcił się energicznie na krześle, jak gdyby usiadł na mrowisku.

- Wiem synu, wiem! Co jednak mogę zrobić?! Wyrok już zapadł. Ściągnąłem do siebie pewnego profesora, autorytet w dziedzinie onkologii i tylko potwierdził, to wszystko co powiedział tamten konował. Już jest po mnie! Teraz już tylko mogę siedzieć beczynnym na dupie i czekać, aż baba z kosą mnie odwiedzi!... Zapytam wówczas, czy mogę zabrać kogoś ze sobą, żebym nie czuł się samotny! – skończył i spojrzał wymownie na matkę Piotra.

Wiesława jak do tej pory nie brała i nie zamierzała brać udziału w dyskusji. To spotkanie to był jej pomysł. Piotr zamierzał lada dzień wyjechać do USA. Twierdził, że będzie miał spokojną pracę, ale ona wiedziała, że zamierza robić karierę. Nie była głupia i rozumiała, że chce tam na miejscu stworzyć coś podobnego do dzieła ojca. I tak jak on zamierza to uczynić własnymi rękoma, bez niczyjej pomocy. Nie zareagowała na złośliwy docinek, choć jak zawsze Dawid potrafił dopieć. Oglądała swoje dłonie i udawała, że nie wsłuchuje się w dyskusję. Długo nie wytrzymała. Na ułamek sekundy zerknęła w jego stronę. Na szczęście ich spojrzenia nie spotkały się.

Przebywała w tym pomieszczeniu w roli „strazaka”. Znała ich obu na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że ta dyskusja zmierza w jednym kierunku. Oni obaj nie byli jeszcze tego świadomi, ale ona miała pewność, że jest tylko kwestią czasu, kiedy wybuchnie kłótnia. Jej celem jak zawsze miało być to,

aby nie dopuścić do tego, żeby z incydentalnego, tradycyjnego konfliktu ojca z synem, wynikła wojna.

- Tato, do cholery! Ja nie mówię o medycynie!... – Dawid zwykle ją bronił w takich sytuacjach. Tym razem jednak nie zareagował albo nie zwrócił na to uwagi. – I tak się na tym nie znamy! Ani ty, ani tym bardziej ja! Jestem inżynierem, nie doktorem...

- Do czego zmierzasz?! – wszedł mu w słowo.

- Żebyś się nie poddawał! Ucieczka w apatię, to najgorsze, co może spotkać chorego! Walcz z tą chorobą! Dobrze, pozytywne nastawienie, potrafi zdziałać cuda!... Tato! – zakaszłał. Był to u niego nienaturalny odruch. Zawsze tak robił, kiedy potrzebował kilkusekundowej przerwy na zastanowienie.

Dawid nie zamierzał mu przerywać, choć i tak z ust wymknęło mu się ciche: Mów, mów! – Ciekaw był do czego syn zmierza.

- Tato, wiara czyni cuda! – wyrzucił jednym tchem i odwrócił wzrok, jak gdyby wstydził się tego, co przed chwilą powiedział.

- Wiara?! Czy ja dobrze zrozumiałem twoje słowa?! – podchwycił i spojrzał zaskoczony na syna. Takiego czegoś się nie spodziewał. – Rozumiem synku, że chcesz, żebym się zwrócił ku religii... ku Bogu?!

- Tak! – uznał, że to jedno lapidarne słowo wystarczy za odpowiedź.

W pomieszczeniu zapadła nienaturalna, nieco sztuczna cisza, przerywana jedynie niezbyt głośnymi odgłosami zza okna. Dawid głębiej odetchnął. Skrzywił usta w podkowę i zaszczycił spojrzeniem swoją żonę. Kiedy stwierdził, że nie patrzy w jego stronę powrócił wzrokiem do syna.

- Bóg! No cóż... wiesz, że nigdy nie byłem głęboko wierzący. Zamiast się modlić i prosić o coś, wolałem robić to sam! Zawsze dawałem ci wolną rękę w kwestii wiary, bo wychodziłem z założenia, że sam powinieneś kształtować swój światopogląd. Na nic w tym temacie nie naciskałem, ani tym bardziej niczego nie zabraniałem – westchnął i spojrzał w górę. – Boże, ileż to ja wojen stoczyłem w tej sprawie z twoją mat...

- Nie chodzi o mnie! – Piotr przerwał mu podniesionym głosem, choć wiedział, jak bardzo tego nie lubi. Tym razem jednak nie zareagował. Tylko Wiesława oderwała wzrok od dłoni, które już jej się opatrzyły i spojrzała ciekawie w ich stronę. Czują, że właściwy moment się zbliża.

- Oczywiście, że nie o ciebie! To przecież ja mam się powoli przygotowywać do ostatniej pieprzonej drogi – wyszeptał, jak gdyby liczył na to, że nie zrozumieją o czym mówi. Zawiódł się, kiedy zauważył, że

oboje spojrzeli wymownie w jego stronę. – Co ja mam według ciebie zrobić?! Doradź mi, jeśli jesteś taki mądry – dodał głośniejszym głosem i spojrzął mu prosto w oczy. – Mam wykupić mszę u klechy?!

Miało to zabrzmieć jak dobry żart, ale w oczach syna nie dostrzegł nawet subtelnych oznak wesołości. Patrzył na niego w ten sam sposób, w jaki on zwykł lustrować ludzi mu podległych. Po raz pierwszy w życiu poczuł się dokładnie tak samo, jak oni wówczas.

- Wiesz przecież doskonale o co mi chodzi! – wycedził niezwykle powoli, wymawiając każde słowo, niemalże z namaszczaniem.

Dawid pomyślał, że Piotr przechodzi do ataku. Z jednej strony czuł się zniesmaczony tym faktem, ale z drugiej cieszył się, że ma syna z charakterem.

- Wiesz, prawda?! – usłyszał od syna ponaglenie.

- ? – z jego ust wydobyło się coś nieokreślonego. Okazało się, że wcale nie jest taki bystry, jak wcześniej uważał. Nie miał bladego pojęcia o czym Piotr mówi. Czyżby zamierzał go namówić na nawrócenie? Wiedział, że syn jest praktykującym katolikiem, ale nigdy nie przypuszczał, że mógłby zechcieć nawracać go, zatwardziałego agnostyka. – Czy dobrze rozumiem?! Chcesz żebym się nawrócił?!... Mam się modlić?!

- Tak! To przecież nic nie kosztuje ani tym bardziej nie zaszkodzi. Zachowujesz się tak, jakbym mówił o czymś zdrożnym – patrzył na niego szeroko rozwartymi oczami, co zawsze znamionowało u niego rozdrażnienie. – Tato, to tylko modlitwa! Nic więcej!

- Zdrożnym?! – nie znał tego słowa. Odsunął wszystko na bok. Musiał szybko poznać znaczenie tego wyrażenia. Znał siebie i wiedział, że inaczej nie potrafiłby się skupić na dalszej rozmowie. – Co to znaczy?

- O Boże, tato!... Zdrożny, to inaczej naganny, gdyż przekracza pewien zakaz obyczajowy. A co do modlitwy, to tak! Spróbuj się przełamać i pomodlić!

Wiesława odruchowo uśmiechnęła się do siebie. Zawsze cieszyła się, kiedy miała okazję przyłapać Dawida na tym, że czegoś nie wie, albo nie rozumie. To go wówczas obdzierało w jej oczach z nimbu doskonałości. Błyskawicznie się zreflektowała i zgasła uśmieшек niemalże w zarodku. Bała się, że mąż zwróci na to uwagę i zwyczajnie się wścieknie.

Musiał tego nie zauważyć, gdyż tylko westchnął i zapadł w zadumę. Oboje wiedzieli, że nie należy mu teraz przeszkadzać. Siedzieli cicho wpatrzni w niego jak w obraz.

Dawid widział, że rozmowa zaczyna przybierać nieoczekiwany obrót. Na początku nie przypuszczał, że dotrą do takiego punktu, choć powinien przewidzieć, iż dzisiaj prędzej czy później Piotr poruszy temat religii. Od dobrych kilku lat nie rozmawiał z synem o tych sprawach i z tego co pamiętał poprzednia dyskusja zakończyła się kłótnią. Nie odzywali się wtedy do siebie przez niemalże dwa tygodnie. Już nie pamiętał w jaki sposób, ale to Wiesława wówczas ich pogodziła. Teraz intensywnie myślał, co powinien mu powiedzieć. Że nie interesują go takie rzeczy? Że uważa to za stratę czasu, bzdurę niejako? Wziął głębszy oddech.

- Synu...

- Tato! – Piotr mu ponownie przerwał, czego wręcz nie znośli. Zagotowało się w nim i pomimo tego, że wcześniej obiecywał sobie solennie, że będzie nad sobą panował, to teraz poczuł, że za moment wybuchnie. Zamierzał dokończyć przerwany wątek, ale Piotr był od niego szybszy.

- Zawsze mnie uczyłeś, że kiedy zawiodą pewne rzeczy, to powinno się sięgnąć po kolejne czekające w kolejce. Plan „A” zawiódł, więc pora uruchomić plan „B”. Tak robią...

- Nie ma żadnego planu „B”, do cholery! – krzyknął, drgnął nerwowo i zacisnął dłonie z wściekłości.

- Nie krzycz na mnie! – odpowiedział równie impulsywnie, choć nadal tkwił nieruchomo w swoim fotelu. – Już to na mnie nie działa! Kiedyś, kiedy byłem młodszy, to się nawet ciebie bałem, ale teraz to już się nie sprawdza! Nie wystraszysz mnie, ojcze, więc odpuść sobie – dodał spokojniejszym tonem, jakby w ten sposób pragnął ostudzić emocje.

- Przepraszam! – Dawid powiedział to szczerze. Poczuł, że nagle uszło z niego powietrze. Nie chciał, nie zamierzał teraz wytaczać armat przeciwko komuś, kto był mu najdroższy na świecie.

- Dobrze już, tato! Ja po prostu chcę, żebyś wykrzesał z siebie energię i walczył o swoją przyszłość. Tato, tu przecież chodzi o ciebie, o twój los! Nie można się poddawać, kiedy pozostaje choć cień nadziei – z jego oczu emanowała troska o jego los.

Dawid znowu poczuł ogromną dumę.

- A pozostaje?! Mamy jakąś nadzieję? – wbrew sobie zapytał złośliwie.

- Oczywiście tato! Trzeba tylko spróbować to dostrzec. Jeżeli teraz się poddasz, to już po tobie – pochylił się w jego stronę



i złapał za rękę. – Tato, nie jesteś sam! Masz mnie i mamę. Tato, masz dla kogo żyć!

Nie odpowiedział.

- Nic nie powiesz? Znowu uciekniesz w milczenie? Z mamą możesz tak postępować, ale...

- Ale z tobą nie! Wiem o tym – powiedział to spokojnie, ale znowu poczuł gdzieś w środku kielkującą, narastającą agresję. Nikt go nigdy nie przygotowywał na taką rozmowę. Nigdy wcześniej nawet nie pomyślał, że coś takiego nastąpi, a teraz musiał przez to przebrnąć. I do tego „z twarzą”.

- Zwrócisz się ku Bogu?!... Odpowiedz tato, proszę! – puścił jego dłoń i cofnął ciało w głąb przepastnego fotela, na którym siedział.

- Wiesz przecież, co zawsze myślałem o religii?! – chciał się ironicznie uśmiechnąć, ale nie potrafił.

- Mogę się tylko domyślić. „*Opium dla mas*” Karola Marksa? Często o tym wspominałeś! Czy o to ci chodziło?

- Nie! Nie do końca o to mi chodzi. Posłuchaj, kiedyś usłyszałem pewną opinię. Padła ona z ust osoby bardzo mądrej, która była dla mnie wielkim autorytetem. Nie znasz go, ale ja go bardzo szanuję.

- Powiesz wreszcie?! – ojciec go zaintrygował. Dzięki temu opadły u niego emocje.

- Tak, powiem. Oczywiście. Mój przyjaciel kiedyś powiedział, cytuję: „*Jak inteligentny człowiek, może być wierzący?*” – chciał jeszcze coś dodać, ale nie zdążył.

- Tato?! – syn ponownie pochylił się w jego stronę.

- Tak? – uniósł wysoko brwi i czekał.

- Czy ja jestem według ciebie mądrym człowiekiem?

Zaskoczył go. Przez kilka sekund tkwił w bezruchu. Odpowiedź zdawała się być oczywista. Nie wiedział jednak, jak ubrać ją we właściwe słowa.

- Tak, oczywiście, że tak! Znasz przecież moje zdanie na ten temat! – z początku nie rozumiał o co mu chodzi, dlatego nie bardzo wiedział, jaką powinien obrać taktykę. Rozumiał, że za chwilę zostanie kompletnie zaskoczony i w związku z tym odczuwał pewien dyskomfort. Będzie zapewne miał dylemat, czy powinien „pękać” z dumy, czy raczej „kipieć” z wściekłości.

- Ja przecież wierzę! Jestem wierzący! Wiesz, że wierzę w Boga!... Zrozum, że intelekt nie ma tu nic do rzeczy! Nie wstydz się wierzyć. Módl

się, a może to coś da. Jeśli ty się nie zwrócisz do Boga, to ja to zrobię za ciebie.

- Bzdury!! – krzyknął wbrew sobie. Głośny dźwięk stłuczonej szklanki, która spadła na podłogę i rozsypała się w drobny mak oraz ból prawej ręki uświadomiły mu, że właśnie walnął pięścią w biurko.

Cała trójka spojrzała po swoich twarzach. Wiesława szybko wstała, chrząkając przy tym głośno, aby w ten sposób przykuć ich uwagę. To był ten moment, na który czekała od początku, a co do którego była pewna, że musi nastąpić. Wcześniej zaplanowała sobie co powie, ale teraz zapomniała scenariusza. Musiała błyskawicznie zaimprovizować, a bardzo tego nie lubiła.

- Kawa! Zrobię kawy! Co wy na to?! – powinno to zabrzmieć spokojnie, a tymczasem wyszło, jak komenda oficera do salwy plutonu egzekucyjnego. Obaj spojrzeli w jej stronę. Zanim oceniła ich spojrzenia, Dawid wybuchnął.

- Zamknij się zdiro! – krzyknął, rozsiewając przy tym mgiełkę śliny, która opadała na blat biurka. Wbił swoje wypielęgnowane paznokcie w podłokietniki i ciężko dyszał. – Nic tu nie znaczysz! Ciesz się, że w ogóle tu jesteś!

Żywioł ruszył i w mgnieniu oka nabrał rozpędu. Nie zdążyła zareagować. Jedyne, co udało jej się zrobić, to poderwać głowę i ogarnąć wzrokiem obu przeciwników.

- Nie!... To ty się zamknij! – Piotr poderwał się z fotela. W jednej chwili pochylił się w jego stronę i oparł obie dłonie na starym, stylowym biurku, który teraz niejako symbolizował podział. – Nigdy tak do niej nie mów!! Słyszysz co mówię?! To moja mama i kocham ją! Bardzo ją kocham i jeszcze bardziej szanuję! – W kącikach ust zebrała mu się ślina i przeszkadzała w mówieniu, nieco deformując wypowiedane słowa. W innej sytuacji byłoby to komiczne, ale teraz nikomu nie było do śmiechu. – Nigdy tak nie mów do mojej mamy, bo...

- Bo co?! – Dawid z trudem wstał, ale przybrał pozycję identyczną, jak jego adwersarz.

- Spokojnie, moje tygrysy!... – Wiesława wpadła w panikę. Rozumiała, że już tego płomienia nie zgasi.

Żaden z nich nie zareagował na jej nieudolną próbę żartu. Trwali w bezruchu, pochyleni naprzeciwko siebie, jak odlani z brązu. Obaj mierzyli

się wzrokiem, jak bokserzy przed walką. Nagle głośny plask rozszedł się echem po pokoju. Dłoń Dawida wylądowała na policzku syna.

Piotr w żaden sposób nie zareagował, jak gdyby wiedział, że to nastąpi i czekał na cios. Uznała, że chyba był przygotowany na taki finał. Ani na moment nie oderwał dłoni od blatu. Nadal stał nieruchomo i patrzył nienawistnym wzrokiem na ojca. Dyszał przy tym jak ktoś, kto przed chwilą przebiegł kilometry i teraz ma problemy ze złapaniem powietrza. Patrzył zimno, jak jego ojciec powoli opada na siedzisko fotela.

- Wynoś się! – Dawid podniósł rękę i wskazał palcem na drzwi. – Wypieprzać mi stąd oboje i żebym was więcej nie widział, wy, wy... popaprańcy! – ręka opadła, ale emocje jeszcze nie. Wydzierał się na całe gardło, w ten sposób akcentując swoją wściekłość. – Spieprzajcie stąd! To moje biuro, mój świat i ja tu rządę! Nie ma was! Wynocha!

Stracił nad tym kontrolę i podświadomie czuł, że będzie tego później żałował. Teraz jednak musiał wylądować to wszystko, co gromadziło się w nim systematycznie od momentu postawienia diagnozy.

- Chodzi wam tylko o moje pieniądze! Tylko to się dla was liczy! Wypad mi!! Spadajcie stąd, gnoje!! Liczycie na spadek po mojej śmierci, ale nic z tego! Nic nie dostaniecie! Nic!... Ani grosza, ani centa, ani...

Wiesława podeszła do Piotra i złapała go za ramię. Zaskoczony spojrzał na nią. Miał łzy w oczach i zaciśnięte z wściekłości zęby. Uśmiechnęła się łagodnie i delikatnie pociągnęła w stronę wyjścia. Kiedy przekroczyli próg gabinetu puściła jego ramię, aby zamknąć drzwi, rzucając przy tym krótkie spojrzenie na Dawida. Siedział na tym swoim tronie i wściekle walił pięścią w blat.

- ... ani kopiejki, cholera, ani rubla... nic... nic... nic!

### 3.

- Dzień dobry!... Cholerna pogoda! Ale leje! – słowa zostały wypowiedziane niezwykle szybko, jak gdyby tajemniczemu gościowi niezwykle się śpieszyło. Mężczyzna stał tuż przy drzwiach, a w rękę trzymał złożony parasol, z którego na drewnianą podłogę spływały pojedyncze krople wody. – Mogę wejść?

Karol Musielak, facet z przeszłością, po kilku wyrokach, nie był dzisiaj w najwyższej formie intelektualnej. Pomimo, że minęło już południe, to